

665

Myślenie Witkacym

Jadwiga JAKUBOWSKA

PODZIAŁ na teatr dramaturga, reżysera, aktora czy scenografa — wydawał mi się zawsze podejrzany. Podejrzany już ze względu na zakładaną a priori jednoznaczność wyboru. Co nie zmienia faktu, że nawet i te przeciętne, szare spektakle są pewnym zapisem rywalizacji różnorodnych wyobraźni.

Pytanie szłoby więc w kierunku określenia dominującej wizji. I powiemy od razu, że słowo może ograniczać lub inspirować cały szereg odniesień sytuowanych w przestrzeni widowiska. Jerzy Szaniawski opowiadał kiedyś, że sam Juliusz Osterwa nie uniknął poetyckich dłużyzn, gdy realizował jego sztuki. A były to przecież premiery, które osnuła legenda. No cóż, teatr współczesny raczej nie rozpieszcza widza nadmiarem stylizacji... Ale wśród rodzimych-izmów pojawiają się niekiedy przedstawienia, w których widać, że reżyser zadał sobie trud, by rzeczywiście spenetrować materiał literacki.

Przykładem inscenizacji wyjątkowo odpowiedzialnej za literę metafory jest spektakl Witkacowskiej *Sonaty Belzebuba* (Scena Narodowa). Skończył się właśnie Rok Witkacego, obchodzony w setną rocznicę urodzin twórcy *Szewców*. Sądzę, iż w masie kabaretów, mszy metafizycznych przedstawienie *Sonaty* zajmują miejsce szczególne. Reżyser Jerzy Krasowski wskazał pogranicze żartu, gry, zabawy i tragicznej autoanalizy, wiwisekcji kompleksów, nadziei.

Sonata Belzebuba ma pewien bardzo charakterystyczny ton zmęczenia. Sztuka powstała w 1925 roku. Ten cały quasi satanizm jest nie tylko kolejnym etapem na drodze do czystej formy. Jest nie tylko wyzwaniem, pod adresem mieszczańskiej publiczności. Na naszych oczach muzyk Istvan przeżywa swój sen o sztuce... No może niedosłownie przeżywa, bo okazuje się, że słynna sonata pochłania twórcę. Baleastadar (Król piekiel i nie tylko) zamyka Istwanowską biografię rzeczowym wnioskiem:

„Możemy go nie żałować. I tak żyć by już nie mógł. Przeżył się, a co najważniejsze przekomponował się na wylot — nie zostało z niego nic. Po-

wiesił się już jako trup. Można dać pokój innym sztukom.”

Sen artysty nie jest więc snem o czystej formie. Lecz kto by mógł tak śnić. Witkacy — filozof, Witkacy — dramaturg, Witkacy — malarz?

Krasowski rozpisal *Sonatę* na wiele symboli. Scenografia Krzysztofa Pankiewicza znakomicie aranżuje metaforyczne plany. Podporządkowują się im również wykonawcy. Króluje charakterystyczność. Sugestywne są wszystkie role kobiece: Halina Kossobudzka, Krystyna Mikołajewska, Jadwiga Polanowska, Ewa Serwa i Aleksandra Zawieruszancka nie szczędzą techniki, ale służy ona grze słowa. Tomasz Budyta z powodzeniem podlega piekielnym przeobrażeniom. Marek Wysocki ciekawie usidla sztukę konwersacji. Józef Nalberczak i Lech Komarnicki akcentują, że są o krok od tajemnicy istnienia. Sam mistrz Baleastadar — Bogusz Bilewski, jest chyba zbyt dosłownie sympatyczny, skoro nadał mu Witkacy rysy i magi, i komentatora. A to zobowiązuje.

Jerzy Krasowski unika inscenizatorskich ozdób. Są co prawda rozmaite smaki: salonowe obrazki, piekło by night i cudowny kabaret męskich girls. Lecz przede wszystkim jest myśleniem Witkacym. A więc precyzja środków ekspresji, wyrazista konstrukcja wprowadzanych znaczeń oraz spór o sens artystycznej metamorfozy.

PS. I jeszcze coś z groteski, choć tym razem nie zamierzonej. Teatr TV pokazał, zapowiadając głośno, że idzie nowe, sztukę Jacka Janczarskiego SZKODA SŁOŃCA. Nowe okazało się nudną gadaniną w pretenjonalnej scenerii (dacie jakoś rzadko wychodzą nam na zdrowie), która miała udawać czyjś życiowy bilans. Ba, Witkacy powiedział, że bełkot trudno ujarzmić. Jak zwykle miał rację. Ale po licho go hodować!



Fragment przedstawienia

(Foto: Karina Lopińska)